

Wschód-Zachód, Zachód-Wschód

Dzongsar Khyentse Rinpoche

Niedawno znajomy z Nowego Jorku przesłał mi mailem artykuł zatytułowany: „Czy buddyzm tybetański może coś dać Zachodowi?” Choć lektura wywołała we mnie początkowo reakcję obronną, przyznaję, że autorka poczyniła kilka cennych spostrzeżeń. Zdawać by się mogło, że dodawanie kolejnego głosu do tej niekończącej się dyskusji nie ma większego sensu, lecz już Budda podkreślał znaczenie racjonalnej argumentacji i namawiał do sprawdzania ścieżki - zamiast podążać nią na oślep - na długo przed nastaniem współczesnej cywilizacji z jej uwielbieniem dla wolności słowa. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że nawet w tych podobno „nowoczesnych” czasach ślepa wiara ma się dobrze - ludzie wciąż są gotowi oddać życie w zamian za wystawioną im przez kapłana przepustkę do nieba. Korzystajmy z owego prawa sprawdzania ścieżki i jej wiarygodności, ale i zważajmy na jej kulturowy pejzaż. Czy możemy sobie pozwolić na brak krytycyzmu? Czy to, że urodziliście się na Zachodzie oznacza, że nie macie cech niezbędnych buddyście? A może raczej nauczyciele powinni dostosować nauki, tak aby pasowały do mentalności zachodniej?



Tybetańscy lamowie od lat zjednują sobie miłość i uznanie mieszkańców Zachodu, którzy widzą w nich wcielenie głębokiej i subtelnej mądrości Buddy oraz łagodności i poczucia humoru. Swoje zrobiła też etykieta gatunku zagrożonego, a poza tym zawsze się znajdzie paru autentycznych mistrzów, na których wizerunku można też zarobić. Ale początkowe zauroczenie mija, a co ważniejsze - do ludzi na

Zachodzie zaczyna powoli docierać, że buddyzm i kultura tybetańska nie są bynajmniej ze sobą tożsame.

Rozwój mediów i przemiany zachodzące we współczesnych społeczeństwach sprawiły, że zaczęto uważniej się przyglądać osobom publicznym i sceptycznie odnosić do tak zwanych ścieżek duchowych. Tybetańczycy - a najbardziej lamowie - po raz pierwszy musieli zakosztować gorzkiego smaku słodkiej wolności zachodniego społeczeństwa. Niektórzy z bólem pojęli, że popularność i sukces mają swoją cenę, i zaczęli niechętnie przyznawać, że próby narzucenia Zachodowi idealnego ich zdaniem sposobu życia spaliły na panewce. Niemniej - jak wiele narodów Wschodu - Tybetańczycy nadal z uporem maniaka trwają przy swojej kulturze, jakby była panaceum na wszystko, choć z pewnych jej elementów mogliby śmiało zrezygnować - i to z pożytkiem dla siebie. Co więcej, wielu z nich nalegało, aby ich uczniowie na Zachodzie przyjęli buddyzm z całym bogactwem inwentarza tybetańskiej kultury, choć niejednemu ten ciężki buddyjsko-tybetański gulasz odbijał się męczącą czkawką.

Z powodu niewłaściwych wyjaśnień nawet tak podstawowe nauki buddyjskie, jak schronienie, interpretuje się dziś teistycznie. Recytując czy śpiewając słowa: „Znajduję schronienie w Buddzie”, pomijamy milczeniem – a zatem zupełnie lekceważymy – zasadniczy sens tego schronienia, a mianowicie przekonanie, że Budda jest naszą ostateczną naturą. Dlatego nie może dziwić stwierdzenie autorki wspomnianego artykułu, że Guru i Sangha nie przynieśli jej wyzwolenia, lecz wręcz przeciwnie - stali się dla niej „więzieniem”. Ponieważ zadaniem lamów jest przeniesienie Dharmy na Zachód, ciąży na nich dużo większa odpowiedzialność za nauki niż na uczniach zainteresowanych ich poznaniem. Zamiast jednak ułatwić ich przyswajanie, cierpiący na kompleks wyższości Tybetańczycy odgradzili się od ludzi Zachodu wysokim murem, wykazując fundamentalny brak poszanowania dla ich mentalności i nikłe zainteresowanie zachodnim sposobem myślenia. Klasyczna

buddyjska metafora mówi, że lekarz musi umieć dobrać kurację do pacjenta i choroby. Skoro jednak tybetańscy lamowie wyśmiewają się z kultury i przyzwyczajzeń swoich zachodnich uczniów, nazywając je „kompletną stratą czasu”, jakże zalecana przez nich kuracja może przynieść jakkolwiek korzyść? Czy naprawdę sądzą, że ludzi Zachodu należy nauczać tak samo, jak niepiśmiennych tybetańskich nomadów? Ten brak szacunku nie jest zjawiskiem nowym: Tybetańczycy uważali ludzi Zachodu za barbarzyńców od dawien dawna. Jeszcze przed rokiem 1959 nierzadko odmawiano im wstępu na terytorium Tybetu tylko dlatego, że byli cudzoziemcami. Uprawniony jest wręcz pogląd, że największą odpowiedzialność za utratę niepodległości Tybetu ponoszą sami Tybetańczycy, bo są skrajnie ksenofobiczni, gardzą obcymi i negują ich „barbarzyńską” kulturę. A mieszkańcy Zachodu są oczarowani tybetańską gościnnością, uprzejmością i serdecznością, nie mają bowiem pojęcia, że to nie szczerą postawą, lecz bardziej nakaz społeczny. Uśmiech Tybetańczyka nie zmienia niepodważalnego faktu, że pochodzisz z barbarzyńskiego Zachodu. A jeśli jest szczerą, to czasem z powodu nadziei właściciela, że staniesz się jego sponsorem albo, jak to bywa ostatnimi czasy, pomożesz mu w uzyskaniu amerykańskiej karty stałego pobytu.

Autorka artykułu zauważa też słusznie, że „narzekania lamów są tak dobrze znane, że słuchając ich trudno powstrzymać ziewanie”. Tybetańczycy twierdzą, że ludzie na Zachodzie praktykują Dharmę „powierzchniowo i chaotycznie” - a zatem co najwyżej badają grunt - jak gdyby zapomnieli, że sam Budda zalecał badawczą powściągliwość w tym zakresie. Szacunek dla wielkości buddyizmu pojawia się z czasem, po bardziej wnikliwej analizie.

Poza tym wypominanie ludziom Zachodu „materialistycznego nastawienia” zakrawa na ironię, ponieważ Tybetańczycy - a szczególnie niektórzy lamowie - pogoń za dobrami materialnymi zaczęli uważać za sprawę najwyższej wagi. Duże skupiska Tybetańczyków rywalizują we wszystkich możliwych konkurencjach: od

największego klasztoru po najnowsze samochody najbardziej prestiżowych marek. Gdyby paru wysokich lamów sprzedało tylko swoje złote i srebrne koszyczki do szklanek, setki głodujących Etiopczyków miałyby co jeść na długie tygodnie.

Tybetańczycy rzeczywiście uważają, że ludzie Zachodu „traktują Dharwę jak owar” i nie potrafią utrzymać w tajemnicy nauk tantry, ale czy można ich za to winić, jeżeli „sami lamowie zamienili Dharwę w teatrzyk objazdowy”, oferujący takie atrakcje, jak sypanie mandali czy tańce lamów?

Im wcześniej ujawnimy wszystkie błędy Tybetańczyków, tym lepiej. W przeciwnym razie możemy się bardzo rozczarować i zarzucić praktykę Dharmy. Wykrywanie błędów nie jest jednak proste. Obłuda lamów ma wielowiekową tradycję i obrosła w subtelną powagę. Dobrym przykładem jest ów irytujący już niemal spektakl unizienia, na który tak często dają się nabrać ludzie na Zachodzie, nie zdając sobie sprawy, że za kulisami tego teatru toczy się bezpardonowa walka o prawo do zasiadania na najwyższym tronie. Doszło do tego, że niektórzy lamowie życzą sobie siedzieć na równi ze swoimi nauczycielami czy wręcz wyżej od nich. Te przepychanki najlepiej widać na tłumnych uroczystościach z udziałem potencjalnych sponsorów - szczególnie Tajwańczyków, którzy wartość lamy oceniają bodaj wyłącznie na podstawie rangi: najlepiej, gdy jego imię poprzedza jakaś „świętość” albo „eminencja”.

Zdaje się, że obraz pokornego Gautamy z żebraczą miseczką, przemierzającego boso ulice Magady, jest dziś już wyłącznie mitem. Wpływy i dominacja lamów w Tybecie nie tylko „osłabiła” wiele świeckich aspektów tybetańskiego życia, takich jak sztuka, muzyka i literatura, które nie przedstawiały dla nich większej wartości, lecz także - w niektórych przypadkach - doprowadziła do degeneracji samej Dharmy.

Gdyby nie fundamentalny w buddyzmie pogląd o nieistnieniu najwyższego stwórcy, rządy niektórych lamów z klapkami na oczach nie różniłyby się niczym od tyranii talibów.

Lamowie podkreślają znaczenie ekumenizmu, lecz wielu z nich propaguje sekciarstwo, zazdrośnie strzegąc swoich tybetańskich uczniów i zniechęcając ich do zgłębiania nauk innych tradycji. Powód jest bezdyskusyjny: po co mącić sobie w głowie? Z tej racji uczniowie jednej szkoły nie mają często zielonego pojęcia o innych tradycjach - co zupełnie im nie przeszkadza oczerniać ich i opluwać. Co więcej, lamowie wciągają w tę sekciarską przepychankę nie tylko Tybetańczyków, lecz także swoich zamorskich uczniów, osiągając w niej porażające sukcesy. Zazdrośnie strzegą swoich ośrodków na Zachodzie, bo niejeden stanowi ich prywatną maszynkę do robienia pieniędzy na potrzeby własne i ich rodzimych klasztorów. Wspieranie uczniów szczerze praktykujących Dhamę czy ułatwianie im studiów jest już mniej zajmujące.

A zatem - czy buddyzm tybetański może coś dać „barbarzyńskiemu” Zachodowi? Oczywiście, że tak. To, że zdołano zaimportować buddyzm do barbarzyńskiego wówczas Tybetu i tak wspaniale go tam rozkrzewić, najlepiej dowodzi, że mimo licznych występków swoich wybitnych przedstawicieli i kulturowej obcości buddyzm może coś dać - i mimo wszystko nadal daje - każdej rasie, narodowości, płci i kulturze. Negowanie buddyzmu wyłącznie z powodu niewłaściwego zachowania kilku Tybetańczyków czy ich „wielowątkowego i barwnego trybu życia” - co, jak się zdaje, czyni autorka wspomnianego artykułu - chyba jednak nie jest rozsądne.

Należy pamiętać, że potrzeba było odwagi i sumiennej pracy wielu pokoleń, by buddyzm zapuścił korzenie w Tybecie. Dlaczego na Zachodzie miałyby być inaczej?

Co więcej, przykładanie do Dharmy materialistycznej miary czy ocenianie jej z arogancją „obiektywnego obserwatora” grozi zafałszowaniem wyniku. Na własne oczy widzimy, że samoloty latają, a statki nie toną, ale czy potrafilibyśmy orzec, kto osiągnął oświecenie, a kto nie? Podobną ostrożność powinniśmy zachować porównując systemy społeczne. Stwierdzenie autorki, jakoby „zarządzanie socjalne” w Stanach Zjednoczonych stoi na znacznie wyższym poziomie niż w Tybecie za króla Trisonga Detsuna, jest chybione. O jakim „zarządzaniu socjalnym” w Ameryce mówimy - chyba nie o rzezi tysięcy Indian? Król Trisong natomiast był wielkim wizjonerem, który potrafił dostrzec społeczną wartość buddyzmu. Sprowadził Dharmę z Indii, nie zważając ani na znaczną odmienność kulturową tego kraju, ani na niezliczone przeszkody, jakie piętrzyli przed nim wrogo nastawieni do buddyzmu kapłani lubującej się w ofiarach religii Bon. Niewykluczone, że decyzja Trisonga uchroniła Tybet przed krwiożerczą mentalnością plemienną albo wchłonięciem przez chińską „cywilizację” wiernopoddańczego konfucjanizmu.

Autorka twierdzi też, że Zachód „doskonale rozumie, co znaczy być bodhisattwą”, zestawiając to pojęcie z takimi hasłami, jak „humanitaryzm” czy „działalność społeczna” - czym udowadnia, że absolutnie nie pojmuje istoty sprawy. Aspiracja bodhisattwy wykracza poza zwykłą empatię wobec „potrzebujących” i „bezradnych”. Tego rodzaju współczucie nieuchronnie rodzi współzależność, wzmacniając niepewność i egoizm, bo w ostatecznym rozrachunku człowiek określa siebie według skali i rozmiaru pomocy, jakiej udziela innym. Bodhisattwowie natomiast nie przywiązują się ani do swoich czynów i działań, ani do ich rezultatów. Interesuje ich wyłącznie uwalnianie istot z pułapki życia - i od mitu wolności.

Można by zatem zadać pytanie, jaki ma być ów bodhisattwa: Delikatny? Pogodny? Pokorny? Czy powinien żyć w ascezie? Możecie mi nie wierzyć - choć pozornie nie ma nic prostszego od piętnowania materialistycznych wyskoków lamów, jeszcze łatwiej paść ofiarą tej ich „cudownej prostoty”. Obłuda to maska,

którą noszą najchętniej. Ileż razy sam się czułem jak skończony hipokryta, bez trudu rozpoznając w sobie właśnie ten typ lamy, który tak bardzo rozczarował autorkę artykułu. Mimo to zamierzam nadal bez żenady odcinać kupony od swojej sławy: wysokie trony, markowe buty czy nawet czterdzieści dziewięć rolls-royce'ów - wezmę wszystko, co tylko mi dadzą.

Niejednen powie, że to świętokradztwo i szczyt zepsucia: lamowie - co to niby ślubowali wyrzeczenie - opływają w luksusy i cieszą się niewyobrażalnymi przywilejami. Nie wygląda to też za dobrze, gdy rzekomo współczujący, wybitni mistrzowie jawią się nam jak pozbawieni szerszej wizji tyrani. Należy jednak zdawać sobie sprawę, że proste życie również może być pozorem.



Zabrzmie to może ironicznie, ale niektórym trudniej się rozstać ze swoją sumiennie wypracowaną personą prostego pustelnika i szalonego mędrca, niż innym z luksusem doczesności. Do czego ma prowadzić to bezcelowe samoudręczanie się, odrzucanie ludzkich przyjemności wyłącznie po to, by podtrzymać pozory skromności i prostoty? Nie dość, że człowiek nie posuwa się wcale na duchowej ścieżce, to jeszcze pozbawia się wielu rozkosznych doświadczeń. Nie powinniśmy zatem potępiać garstki lamów czy praktykujących, którzy wydają się nam zbyt przyziemni, jeśli w swoich działaniach dla dobra innych istot praktycznie nie wykazują egoizmu. Powinniśmy szanować i naśladować ich całkowitą obojętność na opinie innych ludzi - pochwały za prostotę i świętego oburzenia z powodu ziemskich słabości - oraz nieprzywiązywanie najmniejszej wagi do tego, że pokora i „właściwsze” zachowanie zyskałyby im większe rzesze uczniów. Powinniśmy ich podziwiać już choćby za to, że nie są obłudni; mnie, na przykład, daleko jeszcze do

przewyciężenia owej fałszywej pokory i osiągnięcia stanu prawdziwej obojętności. Pokora i wyrzeczenie się świata pozostają oczywiście najważniejszymi drogowskazami mojej ścieżki, nie dlatego jednak, że pojąłem marność światowego życia. Bynajmniej. Pozostają nimi tylko dlatego, że jestem „tybetańskim lama”, a większość ludzi sądzi, że taki właśnie lama być powinien. A ja chyba nadal jeszcze zważam na opinię publiczną - choć wszelkie oceny są daremne. Nie chcę przez to powiedzieć, że potrzeba osądu jest moralnie czy politycznie niepoprawna; po prostu jej istotą jest zawsze subiektywizm.

— *D.J. Khyentse*